



Historia złamanego portatyłu

2020-09-09

Latem 1883 roku krakowianie emocjonowali się wyczynami złodziejskiego duetu złożonego z dwóch panów, czyli z Aleksandra Wasilewskiego i Romana Kazimierza Czarnomskiego. Sala sądowa, w której odbywał się ich proces, nie mogła pomieścić publiczności, a krakowska prasa zamieszczała obszerne relacje z kolejnych dni procesu. Lista przewinień obu oskarżonych była bardzo długa, jednak sędziowie przysięgli uznali, że jedno z nich jest bezpodstawne.

Michał Kozioł

W związku z tym Wasilewski i Czarnomski zostali uwolnieni od zarzutu „zbrodni zaburzenia religii w Pleszowie”. Decyzja przysięgłych nie miała jednak wielkiego wpływu na wysokość wyroku. Choć przewodniczący ławy prosił w imieniu kolegów „o łagodny, o ile ustawa pozwala wymiar kary”, to jednak Wasilewski skazany został na śmierć, a Czarnomski na osiemnaście lat więzienia. Surowy wyrok był w pełni uzasadniony. Oprócz rozmaitych drobnych przestępstw mieli oni na sumieniu także brutalne morderstwo.

Wróćmy jednak do występku, którego dopuścili się na terenie Pleszowa, podkrakowskiej wsi „leżącej w powiecie krakowskim, przy gościńcu do Nowego Brzeska”. Pod koniec XIX w. była to wieś dość zamożna. Folwarkiem, należącym dawniej do znanej krakowskiej rodziny Kirchmayerów, władał już nowy właściciel. Był to Pinkes Atteslaender, cieszący się uzasadnioną opinią zapobiegliwego, wręcz wzorowego gospodarza. Kirchmayerowie stracili ziemię i pałac, ale pozostała im na terenie Pleszowa jedna nieruchomość, czyli cmentarna kaplica pod wezwaniem św. Wincentego z Ferrary. To właśnie w niej dopuścili się karygodnego czynu Wasilewski i Czarnomski.

Złodziej odwiedza złodzieja

Jeżeli wierzyć zeznaniom złodziejskiego duetu, to w Pleszowie znaleźli się przypadkowo. Podobno pierwotnie celem ich wyprawy była Ruszcza. W czasie rozprawy tłumaczyli, że mieli jakiś interes do dziedzica z Ruszczy, czyli pana Pawła Popiela. Twierdzili, że nie zastali gospodarza we dworze. Można jednak być pewnym, że nawet gdyby był w domu, to zdecydowanie nie miałby ochoty na rozmowę z parą nieznanych włóczęgów. Należy podejrzewać, że wybierając się do Pawła Popiela, liczyli na jakieś wsparcie. Czarnomski miał na tym polu spore sukcesy. Udało mu się dotrzeć nawet do Ferdynanda Weigla, prezydenta miasta Krakowa, i wyprosić u niego pieniężny datek.

W tej niewątpliwie nieprzyjemnej sytuacji postanowili zmienić plany i odwiedzić mieszkającego w niedalekim Pleszowie Leona Gościmę. Podobno była to postać znana nie tylko tutaj. Zdaniem miejscowego żandarma Gościma cieszył się w całej okolicy „reputacją renomowanego złodzieja”. Odwiedziny te jednak się nie udały. Zaszli co prawda do domu małżonków Gościmów, ale nie zastali gospodarza. Gospodyni raczej nie przyjęła ich życzliwie. Później, już w czasie rozprawy, twierdziła, że kazała wtedy mężowi się ukryć, gdyż znała Wasilewskiego jako niebezpiecznego ptaszka, który może wplątać jej ślubnego małżonka w jakąś podejrzaną i niebezpieczną aferę. Rozczarowani goście zostawili więc tylko kartkę z wezwaniem, aby gospodarz przyszedł do „karczmy czerwonej”, gdzie będą na niego czekali, mają bowiem dla niego bardzo ciekawą oraz korzystną i dla nich, i dla niego propozycję. Gościma jednak nie skorzystał z tego zaproszenia. Nie dowiemy się więc nigdy, jaki intratny interes proponowała



złodziejska dwójka specjaliście z Pleszowa.

Hieny cmentarne

Wydawałoby się już, że obaj panowie zupełnie niepotrzebnie wybrali się z Krakowa na wieś, że wyprawa będzie bezowocna. Trzeba jednak pamiętać, że Wasilewski i Czarnomski mogli być zaliczeni do kategorii „cyrkowców”, czyli niefachowych pólamatorów niegardzących żadnym, nawet niewielkim zarobkiem. Skoro już byli w Pleszowie, postanowili mimo wszystko odnieść z tego faktu jakąś korzyść. Czarnomski, młodszy, liczący dopiero dwadzieścia trzy lata, wykształcony – podobno ukończył gimnazjum w Odessie – a nawet mający pewne doświadczenie aktorskie, bardziej nadawał się na obiekt współczucia, biedną ofiarę rosyjskich prześladowań. Już zdarzało mu się skutecznie grać rolę rosyjskiego nihilisty, poszukiwanego przez Ochranę uczestnika zamachu na carskiego dostojnika. Nie wiadomo skąd „sympatyczna” para dowiedziała się o krążącej wśród mieszkańców wsi opowieści, „że jeden z Kirchmayerów pochowany został z sygnetami i krzyżem złotym”. Wasilewski i Czarnomski postanowili poszukać zarobku w krypcie. Do kaplicy cmentarnej dostali się przez wybite okno.

Włamanie zauważył dopiero po dwóch dniach, czyli 25 listopada 1882 roku, miejscowy grabarz. Początkowo sądził, że to wichura wybiła szybę w oknie. Szybko jednak zorientował się, że było to włamanie. Zobaczył bowiem ślady błota na ścianie i podłodze. Stwierdził też, że z komody wyrzucono szuflady, a ktoś próbował „dobierać się siekierą do silnie zamkniętych drzwi grobowca rodziny Kirchmayerów”. Siekiera zresztą należała do wyposażenia kaplicy, czyli sprawcy włamania nie mieli własnych narzędzi. Była to więc kradzież „improvizowana”, a nie z góry zaplanowana. Na posadzce kaplicy leżały niedopałki papierosów oraz uszkodzony portatył, czyli – jak pisała później krakowska prasa – „kamień, zawierający w środku relikwie, na którym kapłan w czasie ofiary kielich ustawia. Relikwie z owego portatyłu zniknęły również”. Użycie słowa „również” nie wydaje się w pełni uzasadnione, zważywszy że sprawcy włamania oprócz relikwii przywłaszczyli sobie jeszcze tylko trzy woskowe świece.

Znieważenie portatyłu

W 1883 zniszczenie przedmiotu zawierającego relikwie było poważnym wykroczeniem. Sąd postanowił więc wezwać jako świadka proboszcza z Pleszowa. Ksiądz Stępiński potwierdził zeznania grabarza. Widział w kaplicy ślady butów oraz dwa niedopałki papierosów, a na „drzwiach do grobowca ślady gwałtownego usiłowania otwarcia”. W kwestii portatyłu potwierdził, że leżał on rozłupany na posadzce i relikwii w nim nie było. Zeznał także, że „nie wie, czy został on rzucony z zamiarem zelżenia przedmiotu, do służby bożej przeznaczonego, ale przedmiot został przez to znieważony i jest zastąpiony innym”.

Podczas procesu okazało się jednak, że Czarnomski był w kaplicy. Zdradził go sztuczny kwiatek, zapewne pochodzący z dekoracji ołtarza albo jakiegoś wieńca pogrzebowego. Po powrocie do Krakowa z pleszowskiej wyprawy Czarnomski dał kwiatek córeczce jednej ze znajomych. Matka dziewczynki, zapewne wiedzioną matczyną intuicją, nie pozwoliła dziecku bawić się tym prezentem. Jednak nie wyrzuciła kwiatka, lecz go schowała. W czasie procesu stał się dowodem rzeczowym.

Włamanie do pleszowskiej kaplicy było tylko jednym, niewiele znaczącym epizodem w



**Magiczny
Kraków**

przestępczej działalności złodziejskiej pary. Dlatego też uwolnienie od zarzutu „zbrodni zaburzenia religii” naprawdę niewiele im pomogło. Popelnili przecież inne, o wiele bardziej karygodne czyny. Ale to już zupełnie inna historia.